

W buszu jest bezpieczniej

Z JAKIEM PAŁKIEWICZEM ROZMAWIA GRZEGORZ ŚIECZKOWSKI

Kim pan jest? Poszukiwaczem przygód, harcerzem czy wólcą?

Na pewno nie jestem sportowcem. W tym, co robię, można odnaleźć raczej coś z ducha harcerskiej przygody. Nawet, gdy wyjeżdżałem na wakacje, to mój wścibi charakter dawał o sobie znać w bardzo różnych sytuacjach. Ciągłe szukanie przygód, ryzyka i niebezpieczeństwa.

Jaki moment zdecydował o pańskim życiu?

W życiu za wszystko trzeba płacić, niczego nie ma za darmo. Do radykalnych zmian w moim życiu doszło, gdy zdecydowałem się wybrać to, co mnie naprawdę zawsze pociągało. O czym marzyłem. Teraz, po latach, wiem, że był to egoistyczny wybór. Zapłaciłem za to wielką cenę. Rozwiodłem się z żoną, opuściłem rodzinę. Nowe życie zacząłem od zera.

Podobno wyprawa szalupa przez Atlantyk otworzyła panu wiele drzwi?

Ona stworzyła tylko mój image. O tym się trochę mówiło i pisało. Miałem wizytówkę i jak szukałem sponsora, to miałem się czym pochwalić. Po wielu latach zacząłem współpracować z włoskim tygodnikiem „Gente”, tam sporo drukowałem, skończyłem szkołę dziennikarską i stopniowo wchodziłem w nowy dla siebie świat. Uważam się za szczęśliwca. W redakcjach niektórzy starsi stażem koledzy dziwili się, że tak szybko mi się powiodło. Sądzą, że na to ciężko zapracowałem.

Niektórzy z pańskich znajomych widzą w tym poszukiwaniu niebezpieczeństw coś z szalenstwa?

To za duże słowo. Lecz, gdy mówimy o wielkiej przygodzie, to musi być trochę szalenstwa i ryzyka. Jednak zawsze staram się działać jak szlachta, który musi przewidzieć kilkanaście ruchów do przodu. Nie wszystko uda się przewidzieć, ale przynajmniej trzeba próbować myśleć o najbardziej zaskakujących niespodziankach, z którymi można się zetknąć podczas prawie każdej wyprawy. Przed wyprawą staram się mieć dobre rozeznanie, ale — na przykład — niespodzianek związanych ze zmianami pogody nigdy nie uda się przewidzieć.

Właśnie z tego powodu nie pociągają mnie góry. Jest tam za dużo niewiadomych. Lawin nie da się przewidzieć, spadają zwykle zniecka. Kiedyś byłem na wyprawie na Annapurę, między innymi z Jurkiem Kukuczka i Wandą Rutkiewicz, tylko po to, by zrozumieć, co znaczy „smak gór”. Nie chciałem się ich pytać, dlaczego tam chodzą, wołałem sam sprawdzić. Odtąd wiem, że można być doskonałym himalaistą, można znać świetnie góry, ale można też ponieść klęskę z powodu bardzo blabiej przyczyny.

Ala przecież przepłynął pan Atlantyk w małej szalupie. Nie było w tym nic z szalenstwa?

Łódka, na której płynąłem, była normalną łodzią ratunkową ze statku handlowego. Taką samą jak szalupy spuszczone na wodę w przypadku tonięcia statku. I dlatego to, co zrobiłem, nie było szalenstwem, bo taka szalupa daje szansę dopłynięcia do brzegu w najbardziej dramatycznych okolicznościach.

Oczywiście, że podczas tamtego rejsu przeżywałem kilka momentów, w których się modliłem i błagałem Pana Boga o pomoc.

Ala w takich sytuacjach największym przeciwnikiem dla samego siebie może być właśnie pan. Nie uwierzę, jeśli pan powie, że nie zna strachu.

Gdy jako nastolatek pływałem po Bałtyku, zdarzały się sytuacje, w czasie których się bałem. To nawet nie był szorstki strach, pojawiał się już przy silniejszym wietrze. Z tego powodu miałem kompleks i wstydziłem się do tego przyznać. Po latach poznałem wielkich żeglarzy, którzy opowiadali mi, iż w trakcie prawie każdego rejsu zdarzają się momenty, w których się boją.

I dlatego nie wierzę tym, którzy mówią, że się nie boją. Pamiętam, gdy po raz pierwszy spotkałem się z rosyjskimi kosmonautami. Pytałem ich o niebezpieczne momenty w czasie wyprawy, takie jak start lub lądowanie. Są chwile, kiedy serce musi zabić mocniej. — Jesteśmy tak wytrenowani, że nam to nie grozi — odpowiadali. — Jeśli wierzyć w to, co mówicie — replikowałem — to znaczy, że jesteście szaleńcami, ludźmi nienormalnymi, bo uczucia strachu nie zna tylko głupiec. Bez strachu byłbym kamikadze. Dzięki strachowi przychodzi opamiętanie, moment zastanowienia, czy warto ryzykować.

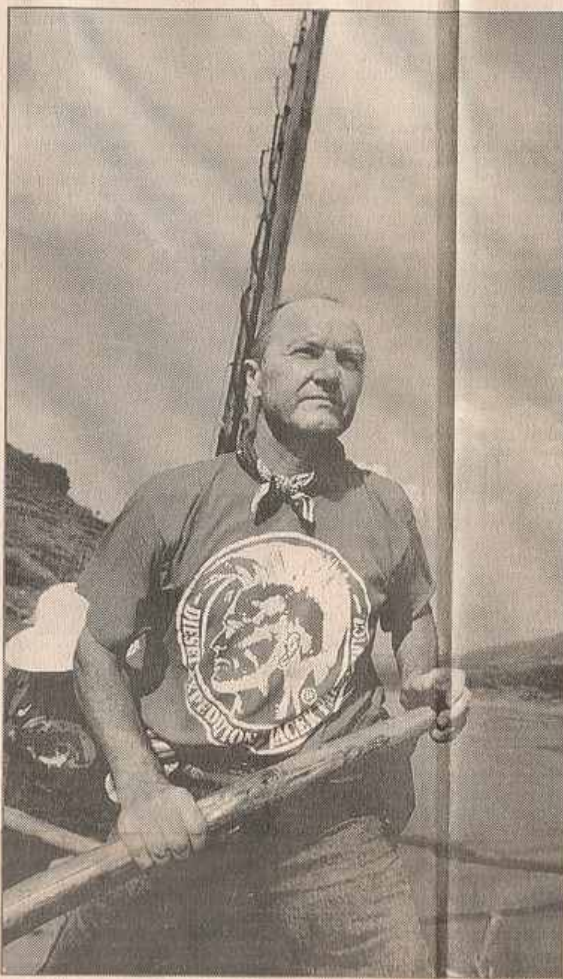
Bałem się wiele razy. Nawet trudno powiedzieć, kiedy najbardziej. Pamiętam, jak przechodziliśmy przez wyspę Borneo. Mapy tamtego obszaru są bardzo nieszczerłowe, a środek wyspy oznaczano jako teren nie zbádany przez człowieka. Ponieważ nie ma ścieżek, poruszaliśmy się wzdłuż rzek i innych duktów wodnych. Często musiałem podejmować decyzje, w którą stronę należy pójść. Robiłem to tak, by towarzysze wyprawy nie widzieli mojego wahania. Potem, gdy spałem, przez pół nocy zastanawiałem się, czy dokonałem właściwego wyboru. Ze strachu, z odpowiedzialności, serce waliło mi jak młot.

Bałem w czasie sztormów, gdy zalewało moją łódkę, i przez długie godziny wylewałem wodę wiadrem. To prawda, że strach ma różne oczy. Ale pokonanie go, przezwyciężenie trudnych chwil, sprawia największą satysfakcję. Wzmacnia i daje siłę wewnętrzną, dzięki której lepiej się czuję w życiu prywatnym. Wiem, że zawsze mam przewagę nad tymi, którzy nie mieli okazji sprawdzić się w trudnych sytuacjach.

Czy chodził panu o tę przewagę nad innymi?

Im więcej ma się takich doświadczeń, tym na więcej można sobie pozwolić. Doświadczenie pozwala mi na kroki, na które inni za nic by się nie zdecydowali. Miałem wiele okazji, aby się sprawdzić. Zawsze kierowałem się przede wszystkim chęcią poznania czegoś nowego. Dlatego wybieram takie miejsca na świecie, gdzie przede mną nie było prawie nikogo, miejsca, których człowiek jeszcze nie zniszczył.

Niestety, zbyt często stwierdzam, że w niektóre strony docieram o jeden dzień za późno. Na przykład: byłem na rzece Jang-cy, po której płynąłem sanapanem, rozjąłem łodzi — dżonki. Wybrałem się tam, ponieważ przeczytałem we włoskiej encyklopedii, że przeloty te rzeki uważane są za jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. To zdanie wystarczyło, chciałem tam być. Przed wyprawą — jak zwykle — zbierałem wszystkie możliwe materiały na ten temat. W pamięci utkwiło mi jedno zdjęcie z pewnej francuskiej publikacji, na którym chińscy buracy ciągnęli taką łódź — sanapan. Podzielało to na moją wyobraźnię i natychmiast zaprzagnąłem coś takiego ujrzeć. Ale gdy tam się na-



FOT. ARCHIWUM

Jacek Pałkiewicz, podróżnik i dziennikarz. Na życie zarabiał jako oficer marynarki, poszukiwacz diamentów, skipper na dużych jachtach. Był pilotem, karateka, w 1975 roku samotnie przepłynął szalupa ratunkową przez Atlantyk (44 dni, bez radia i sekstantu). Kierował wieloma wyprawami w najbardziej egzotyczne miejsca świata. W 1983 roku założył pierwszą w Europie szkołę przetrwania. Od ponad dwudziestu pięciu lat mieszka we Włoszech. Jest autorem wielu książek. Teraz związany z „Corriere della Serra” i jego ilustrowanym dodatkiem „Sette”.

laniem, okazało się, że sanapanów już nie ma. Zostały wyparte przez współczesne łodzie, którym sanapany przeskazywały w żegludze. Dlatego szukałem takiej łodzi, wreszcie po wielu trudach udało mi się ją odnaleźć. Zdażyłem w ostatniej chwili.

A nie ma w tych wyprawach chęci ucieczki od siebie, od świata?

W takich dzikich miejscach zawsze lepiej się czuję niż w metropoliach. W buszu jest bezpieczniej. Nigdy nie uciekałem przed żadnym dzikim zwierzęciem, a od ludzi, od ich agresji, często trzeba uciekać. Dzięki wschodnim szkołom walki wiem, że jeśli ma się przewagę, to lepiej ustąpić.

Pańskie wyprawy muszą sporo kosztować? Czy bardzo jest pan uzależniony od sponsorów? Oni przecież mogą mieć zupełnie inną jakość takich ekspedycji.

To jest kosztowna zabawa, więc bez sponsora wyprawy byłyby zupełnie niemożliwe. Zwykle problemy z mecenasami polegają na tym, że zawsze istnieje ryzyko, iż nie dotrze się do wyznaczonego celu. Jak wtedy rozliczyć się ze sponsorem? Przecież nie mogę go oszukać, a były takie przypadki z innymi podróżnikami, które zresztą dość szybko wychodziły na jaw i rzucały zły cień na wszystkie tego rodzaju ekspedycje. Jeśli chodzi o mnie, to w umowach, które podpisuję ze sponsorami, znajduję się zawsze jeden punkt: zastrzegam się w nim, że mogą wystąpić niezależnie ode mnie przeszkody, które uniemożliwią mi doprowadzenie do końca całego przedsięwzięcia.

Na jakich pieniądzach mówimy?

To jest bardzo różnie, w zależności od rodzaju wyprawy. Koszt skromnej, czteroosobowej ekspedycji wynosi oko-

ło dziesięć tysięcy dolarów. Ale są też wyprawy znacznie droższe. W zeszłym roku wybrałem się do Indonezji. Przez prawie rok czekałem na zgodę oficjalnych władz kraju i ponosiłem różne związane z tym wydatki. Na miejscu okazało się, że lokalne władze uznały, iż te dokumenty, które posiadałem, nie są ważne. Musiałem wyrabić nowe i przez tydzień czekałem, przepłacając po drodze różnych urzędników. Podobnie było z pierwszą wyprawą dla cudzoziemców do południowego Wietnamu. Pozwolił nam przebiegać się na słońcach przez dżunglę, ale zanim tego dokonaliśmy, musieliśmy przejść przez dżunglę urzędników, z których każdy wyciągał rękę po łapówkę. O ile dobrze pamiętam, miesiąc kosztował nas tam prawie czterdzieści tysięcy dolarów.

Miałem znowu szczęście, bo zaprzyjaźniłem się dwanaście lat temu z właścicielem firmy dźsinowej Diesel, w czasach gdy nie był on jeszcze takim potentatem i od tamtego momentu jestem z nim związany. W zamian, oni wykorzystują mnie w reklamie, najszczęśliwiej drukując moje zdjęcia na plakatach.

Prowadził pan kiedyś tzw. szkołę przetrwania. Nie wydaje się panu, że jest w tym coś z kontrolowanej przygody? Taka odwaga dla bogactych.

Przyjeżdżali do mnie ludzie o różnym statusie materialnym. To nie były duże pieniądze, czteryście dolarów, a w zamian był sprzet, instruktorzy i ubezpieczenie. Nie ma mowy w tym wypadku o nacłaganju...

... nawet psychicznym? Chodził mi o namastek przygody.

Ludzie, którzy przez całe życie jeździli do luksusowych hoteli lub mieli normalne, zwykłe, ale wygodne wakacje, w pewnym momencie poczuli się tym zmęczeni. Zrozumiałe więc, że niektórzy z nich zapagnęli zmienić styl życia. Oni w szkole przetrwania muszą być tylko zdrowi fizycznie. A bywali u nas różni ludzie. Był ksiądz, który wybierał się na misję, ochroniarze szeska z Arabii Saudyjskiej, wojskowi piloci. Po tygodniu, po wielu próbach, czują w sobie nową siłę. Ci zwykli mężczyźni, często nawet z brzuszkami, mówią: — Zobacz, jestem taki Rambo!

Czy żeby móc przetrwać, trzeba być egoistą? Czy egoizm pomaga, czy utrudnia przetrwanie?

Kiedyś Jurek Kukuczka powiedział mi, że kiedy staje się twarzą w twarz ze śmiercią i trzeba myśleć, jak wyjść z tej sytuacji, to w wtedy nie miejsca, aby zastanawiać nad losem tych, którzy są obok ciebie i potrzebują pomocy. Jeśli zostanie z nim, zginie obydwaj, jeśli wyjde z tego, mam szansę również uratować i jego. Niewątpliwie, w tym momencie egoizm brutalnie wychodzi na wierzch. Wietu alpinistów i himalaistów nie boi się o tym mówić, bo takie rozumowanie jest bardzo ludzkie i naturalne.

To znaczy, że aby przetrwać, trzeba czasami dokonywać bolesnych wyborów.

Raczej trzeba dać z siebie ogromny wysiłek. Nie fizyczny, ale psychiczny. Od kondycji fizycznej często ważniejszą jest podstawowa wiedza, jak się zachować w nietypowych sytuacjach, na przykład — umieć rozpaść ognisko bez zapalek. Trzeba chcieć żyć i z uporem pokonywać wszystkie możliwe niedogodności. Często nawet nie wiemy, na ile nas stać.

Sztuka przetrwania jest więc dla pana sztuką sprawdzania się.

Albo przeżyć, albo do Bozi... To walka o życie, tak było podczas eskapady syberyjskiej, gdy w czterdziestopięcioletnim mrozie paddy nam renifery.

Lepiej być samemu czy w grupie?

Samotna ekspedycja jest na pewno bezpieczniejsza. Wiem, na ile mogę polegać na sobie, na co mnie stać. Zespołowa jest bardziej ryzykowna, zawsze ktoś może się załamać. Mniej ludzi, mniej problemów. Ale to też zależy od sytuacji i od charakteru wyprawy. Ci, którzy idą ze mną, muszą wiedzieć, czego chcą, a ja muszę być pewny, że dadzą z siebie wszystko.

Kto panu imponuje? Z kim pan wybrał się na wyprawę?

Powiem nieskromnie. Kiedyś, na początku, było wielu takich. Teraz coraz rzadziej spotykam ludzi, z którymi wspólnie mógłbym organizować ekspedycję.